

Lieselotte Augentrost

Seria Kotlina Edelweiss



Herr Oberhaupt



Wydanie pierwsze

Rok 1925

Spis treści

Rozdział I Ostatni taki Schmelzfest	4
---	---

Rozdział I Ostatni taki Schmelzfest

Pierwszy dżentelmen Kotliny Edelweiss stał przy piętrzącym się na dwie kondygnacje oknie w Hotelu Grand Edelweiss, będącego monumentalnym spełnieniem nieprzyzwoitych marzeń architekta. Jego twarz, oddalona ledwie na kilka centymetrów od szyby, wyczuwała, jak przez złożone ramki przebijały się uderzenia chłodu, malujące się mozaikowym szronem na szybie. Powietrze próbowało za wszelką cenę dostać się do ogrzewanego wnętrza, by pozbawić go tego ciepłego luksusu i by zawitać rześko w płucach hotelowych gości. Herr Oberhaupt znał to uczucie, zagościło w jego wnętrzu już dawno temu, gdy po raz pierwszy, wraz ze swoim oddziałem, dotarł w te strony. Lubił je. Niosło tajemnicę tchnącą życiem w kniejach nieprzebytej tajgi, którą poznał osobiście i która zaprosiła go w ten zakątek mikroświata.

Migotliwe światło kryształowego żyrandola w królewskich komnatach przebijało się pasmami przez nocne mroki, które o tej porze roku zapadały bardzo wcześnie. Herr Oberhaupt obserwował zaśnieżone szczyty malujące się w oddali, poszukując w nich odpowiedzi na dręczące pytania, jakie od pewnego czasu nie dawały mu spokoju i wciąż wracały w jego umyśle jak bumerang. Wodził wzrokiem po grani szczytów i zastanawiał się, co powinien powiedzieć swoim gościom na przemówieniu, którego od niego oczekiwali. To dzisiaj bowiem odbywał się Schmelzfest, rocznica proklamacji suwerenności Kotliny Edelweiss. Chciał dać im poczucie, że ma wszystko w garści, że panuje nad sytuacją. I mogą na nim polegać. Niestety nie potrafił przekonać sam siebie, że to prawda. Najbardziej obawiał się tego, że wyczują drżenie w jego głosie? Że nie uda mu się zamaskować towarzyszącego mu niepokoju. Szanował ich. Niektórych nawet kochał. Zasługiwali na prawdę. A jednak czuł, że nie może po prostu oddać im tego ciężaru, jaki w sobie nosił. To nie było w jego stylu, by zasiać ziarno trwogi, rozkrzewić chaos. I patrzeć, co z tego wyniknie. Nie bez powodu był ich wodzem, nie chciał zachować się jak tchórzliwy pies.

Wierny sługa Hagyma przecierał niestrudzenie, z pełnym zaangażowaniem, lakierowane buty Oberhaupta, chuchając na nie raz po raz i czasem posługując się

łokciem, by dopracować swoje dzieło. Wtedy drzwi otworzyły się, a do środka weszła Lieselotte Augentrost. Zamknęła drzwi za sobą i ruszyła w szpilkach przed oblicze Oberhaupta, a jej długie, czarne włosy podskoczyły sprężysto na jej plecach. W końcu stanęła naprzeciwko wodza z urzekającym uśmiechem, którego rzadko brakowało na jej czerwonych, wąskich ustach. Była od niego nieco niższa. Oplotła go swoim elektryzującym pojrzeniem od stóp do głów i kiwnęła głową z uznaniem.

„Moja słodka katorga.” – przeszło mu przez myśl, gdy zrobił to samo w stosunku do niej.

- Herr Oberhaupt. – powiedziała urzędowym tonem. – Najwyższy czas na przemówienie. Wszyscy oczekują. – rzekła, a potem wspięła się na palce, oparła rękę o jego ramię i wyszeptała mu do ucha. – Joachim kazał wszystkim czekać z kieliszkami, dopóki nie przemówisz. Rozumiesz presję? – powiedziała w tajemnicy, choć Hagyma już dawno zdążył uciec z tego pomieszczenia, nie czekając nawet na rozkaz przełożonego.

- Dobrze. Już wychodzę. – powiedział i usłyszawszy oczekiwane słowa Lieselotte pewnie wybiegłaby z tego pomieszczenia tak szybko, jak się pojawiła, gdyby nie pewien subtelny fakt. Nie uszło bowiem jej uwadze, że nawet się nie uśmiechnął. Właśnie to wzbudziło podejrzenia. Odsunęła się i wzdrygnęła. Znow omiotła go spojrzeniem, tym razem jednak lekko marszcząc brew.

- Trema? – zapytała i uznając, że jest to bardzo trafne spostrzeżenie, otworzyła swoją torebkę na łańcuszku i przez chwilę w niej szperała. W końcu wyciągnęła z niej małe flakonik. – Proszę. Napij się. To wyjątkowo pyszny trunek, który... który ... - zasłoniła usta wierzchem dłoni, choć przecież nikt jej więcej nie słyszał. - ... czasem sobie popijam w takich sytuacjach.

Przekazała mu trunek, a on nawet chętnie z niego skorzystał. Odkręcił wieczko i pociągnął. Miał moc i korzenno-ziolowy smak. Orzeźwiający.

- Dzięki. – powiedział, oddając buteleczkę. Lieselotte schowała ją z powrotem i potarła ręką pokrzepiająco jego ramię.

- Musisz iść sam. – powiedziała.

- Wiem, że muszę iść sam. – odparł krótko.

- Idę. Przyjdź zaraz. - powiedziała, mając zamiar się odwrócić, lecz on złapał ją za ramię w ostatniej chwili. Spojrzała na niego jeszcze raz wyczekująco. Chciał, by mogła go pocieszyć. Pokrzepić. Jego myśli poleciały szybko znacznie dalej w tym wyobrażeniu, lecz szybko zdał sobie sprawę z tego, że ona nie może mu pomóc. Że to byłoby tylko chwilową ucieczką.

- Możesz mnie zapowiedzieć. – powiedział w zamian za to.

Po tym nie przedłużając wyszła, pozostawiając za sobą tylko miły zapach szczególnej mieszanki zapachowej czarnej wanilii. Bo wszystko w niej było takie właśnie szczególne.



Herr Oberhaupt zebrał w sobie siły i opuścił pomieszczenie. Przeszedł korytarzem, po drodze wciąż napotykał znajome twarze, poklepując mężczyzn po ramionach, podając im ręce, a paniom kłaniając się lekko. A wszyscy obdarzali go uśmiechami i ufnymi spojrzeniami.

- Edel Abend! – odpowiadali i życzyli pomyślności.

On nie zatrzymywał się jednak przy nikim na dłużej. Na rozmowy czas miał nadejść później. Wkroczył do salki Sonnengelb, a wszyscy, którzy go spostrzegli, zaczęli klaskać. Sprężył się wkracząc po schodkach na scenę, gdzie stał samotny mikrofon. Przystanął na środku i czekał, aż zespół przestanie grać i cała uwaga skupi się na nim. Spojrzał w tłum, a w nim dostrzegł wszystkie bliskie mu osoby. Prawie wszystkie. A także znamienitych gości zagranicznych. Śmietankę towarzyską Edelweiss. A także mnóstwo nieznanym mu zupełnie twarzy, mimo, iż przecież Kotlina była tylko niewielkim punkcikiem na mapie Pollinu i mógł przysiąc, że powinien przecież chociaż kojarzyć wszystkich z widzenia. Ostatni raz nabrał powietrza w płuca. Gdy zbliżył się do mikrofonu, tłum powitał go gromkimi brawami. Wszyscy rzeczywiście trzymali w rękach kieliszki i gromadzili się przy stolikach bankietowych.

- Drodzy Edle, szanowni goście zagraniczni... - zaczął, pochylając lekko głowę, by mówić wprost do mikrofonu. - ... Miło mi powitać was na tegorocznym balu z okazji Schmelzfest. W dniu upamiętniającym moment, gdy ukonstytuowała się nasza państwowość. To było tak dawno, a ja ... pamiętam to jak dziś. Zebrali się wszyscy mieszkańcy. I oczywiście ja, Faktotum Augentrost oraz mój kochany... - chrząknął i dodał z cicha, wywołując rozbawiony szmer na sali-... jedyny syn Leszek...

- „Który jak zawsze miał ciekawsze rzeczy do robienia niż świętowanie z ojcem najważniejszego dnia w roku ...” – dodał do siebie w duchu z przekąsem.

- ...oraz Herr Erwin, który... niestety zginął pod lawiną jako pierwszy z nas i w ten sposób złączył się z edelweisską ziemią na zawsze. Potem przyszli następni Edle. Ale pierwszy raz świętowaliśmy w takim gronie i dumni byliśmy z tego, że uznają nas na arenie międzynarodowej. Że uzyskaliśmy protektorat cesarsko-królewski, Sławonii i Winków. – zmienił ton głosu, by brzmieć przez chwilę nieco mniej oficjalnie – Tak między nami, sam nie dowierzałem, że to wszystko się powiedzie. – I znów wrócił do oficjalnego brzmienia - Nawet w snach nie wyobrażałem sobie, że dziś stać będziemy w tym miejscu. Wszystko potoczyło się tak, jakby coś nad nami czuwało i tu przekazuję słowa wdzięczności za każde modły, jakie odprawia dla nas Ksiądz Schädel właśnie za tą naszą pomyślność. – mężczyzna w sutannie na publiczności aż napuszył się jak paw, gdy o nim wspomniano w miłych słowach prosto z ust samego Oberhaupta. - Sami dobrze wiecie, ile kosztowało nas to i wciąż kosztuje wysiłku. Lecz gdyby dziś stanęła przede mną Opatrzność i spytała: Czy chciałbyś cofnąć czas i wrócić do czasów, gdy byłeś ledwie tym beztróskim Heinzem-Wernerem, organizatorem rajdów, bywalcem przyjęć i żołnierzem Jego Królewskiej i Cesarskiej Mości, bez chwili zawahania rzekłbym: Nie. Dajemy z siebie wszystko. I robimy to nie dla mnie, nie dla idei. Nie z przymusu. Dla nas wszystkich. By móc nazywać Edelweiss naszym małym rajem na Pollinie. Dziękuję wam za każdą minutę czasu, jaką poświęciliście dla naszej społeczności. Dziękuję, że przekuliście moje marzenie w rzeczywistość. – nabrał powietrza, zacisnął odruchowo pięść i z trudem kontynuował. - Jednakże, nie możemy spocząć na laurach. Przed nami kolejny rok, który niesie ze sobą nowe cele. – Heinz poczuł, jak zimny dreszcz przeszywa jego ciało wskroś, gdy przechodził do tej części przemówienia. - Choć Kotlinę otaczają potężne szczyty,

które chronią nas od wieków, nie możemy pozwolić, by nasza czujność osłabła. – z każdym kolejnym słowem musiał coraz głośniejsze chrząkać. - Wzywam Was do rozwagi. Przygotujmy się na wszelkie możliwe wyzwania z zewnątrz, ale róbmy to z rozwagą i bez utraty tego, co stanowi istotę naszego istnienia: harmonii i wspólnoty. – Herr Oberhaupt zatrzymał się w tym miejscu i kaszlnął głośno. Słowa zwiły mu w gardle. Poczł jakby ktoś odebrał mu w momencie władzę nad językiem. Gardło drapało i nie mógł tego powstrzymać. Chciał i jednocześnie nie mógł nic więcej powiedzieć. Popatrzył po zebranych, a w jego ciele narastał realny strach. Czy to, czego bał się najbardziej, właśnie staje się rzeczywistością? Popatrzył po zebranych, by zobaczyć, czy już szepczą i spekulują. Jego wzrok, jakby za sprawą magnetycznego przyciągania, skierował się daleko w kąt sali. Dostrzegł postać, której twarz skryta była w cieniu głębokiego kaptura. Wiedział i nie wiedział jednocześnie, kim była ta osoba. Ona wyciągała dłoń w jego kierunku, lecz nikt poza nim samym tego nie dostrzegał. Gdy opuściła rękę, poczuł, jakby połknął duży kawałek jabłka, który jeszcze przed chwilą odebrał mu mowę.

- Drodzy Przyjaciele, w tym roku życzę Wam zdrowia, spokoju i pomyślności. Niech ten nowy rozdział naszej historii przyniesie Wam i Waszym rodzinom radość, a naszej Kotlinie – siłę i bezpieczeństwo. – dodał szybko, starając się ratować sytuację. - Razem, jako wspólnota, możemy przezwyciężyć każdą przeszkodę. Niech żyje Kotlina Edelweiss! A teraz napijmy się wspólnie i bawmy się do rana. – po tych słowach niemalże zbiegł po schodkach ze sceny. Gromkość braw, jakie towarzyszyły mu przy schodzeniu, można by porównać do trzęsienia ziemi. Rozgrzani słowami wodza widzowie wychylili kieliszki, a muzyka gotującego się do startu zespołu odbiła się echem po ścianach sali Sonnengelb.

Heinz wspiął się na palce i popatrzył w kąt sali. Widział, jak zakapturzona postać kieruje się do wyjścia. Ruszył w jej kierunku. Przeciskał się pomiędzy ludźmi, a każdy niemal chciał go zatrzymać, by złożyć mniej lub bardziej szczere gratulacje. Oberhaupta dzieliło już ledwie kilka kroków od tej kobiety w sukni i pelerynie, która w niemałym pośpiechu przemieszczała się do wyjścia. Dostrzegł nawet złocisty warkocz, który wysunął się z materiału i smagnął go boleśnie w policzek, gdy...

- Heinz, przyjacielu!

Drogę zagroził mu... sam Arkadiusz Maksymilian. Z żoną Fatimą. Heinz rzucił jeszcze spojrzeniem za tajemniczą kobietą, która pobiegła wzdłuż korytarza i niknąc wśród ludzi z pewnością skierowała się do wyjścia z hotelu. Przeklął w myślach. Każdy zrozumiałby, gdyby go przeprosił i minął. Ale nie Książęta Sarmaccy. Nie najbardziej wpływowe osobistości Pollinu.

Grüner wyciągnął wyszywaną inicjałami LA jedwabną chusteczkę, którą zwykł nosić jako poszetkę i przetarł nią zroszone czoło.

- Arkadiuszu! Fatimo! – odparł, udając równie entuzjastyczne powitanie, na jakie było go teraz stać. – Jakże cieszę się, że przybyliście razem. Mam nadzieję, że wasza posiadłość, Sarmatische Stille, służy wam wystarczająco dobrze. - powiedział pierwsze, co przyszło mu na myśl.

- Ja zatrzymałem się w Hotelu Grand. – przyznał Arkadiusz, obracając w rękach sygnet herbowy, który nosił na palcu serdecznym lewej ręki. – Tutaj mają ręcznie robione jedwabne materace. Tylko na takich mogę spać. Te w Sarmatische Stille... śmierdzą jakąś owcą.

- Mają wełniane obszycie z wełny edelweisskich owiec... - wyjaśniła Fatima.

- Nie ważne, Fatima zatrzymała się w posiadłości i tam sobie robi swoje takie tam damskie sprawy. Kwiaty, książki, spotkania. To nie dla mnie. – wyjaśnił, lecz szybko zmienił temat. – Heinz, dzisiaj jesteś jakiś nie w formie. Zawsze taki nienaganny. A dzisiaj. Dam ci dobrą radę. Lud musi mieć nie tylko ojca we władcy. Ale i sędziego. Gdybyś trzymał ludzi krócej, to nie miałbyś tego, co dzisiaj cię spotka. Jak wszyscy zaraz zaczną wymianę poglądów...

- Dziękuję za radę, Arkadiuszu. Jak zawsze można liczyć na twoje słowa wsparcia. – rzekł z nutą ironii.

Rozmowa toczyła się swoim płynnym, wyćwiczonym rytmem, bo w takich właśnie rozmowach Herr Oberhaupt nie miał sobie równych. A jednak znudzony tą bezproduktywną wymianą zdań, jego ukradkowe spojrzenia wciąż mimowolnie wędrowały w kierunku czarnowłosej teutońskiej damy, z którą rozmawiał przed

przemówieniem. Już tak z przyzwyczajenia. Stała w towarzystwie córek, Isabelli i Sophie i wspólnie zabawiały rozmową Herr Piotra Romanova, eleganckiego wojskowego w mundurze i wypolerowanych oficerkach. Jak każdy mężczyzna lubił obserwować piękne kobiety, a ta jedna, z jemu tylko znanego powodu, nie dawała mu spokoju. Czasem patrzył, jak materiał układa się na jej ciele, czasem na uśmiech, na roześmiane oczy. Czasem zapraszał ją nawet do tańca, gdy nadarzała się przyzwoita okazja. Ale nigdy na trzeźwo. I tylko wtedy, gdy nie było przy niej jego. A to nie zdarzało się zbyt często. Joachim Cargalho wkroczył z typową dla siebie nonszalancją w rozmowę kobiet z Panem Romanovem i cała uwaga znów skupiła się na nim, a Heinz natychmiast odwrócił wzrok.

Nagle gdzieś w korytarzach hotelu rozbrzmiał pełen przerażenia pisk kobiet. Heinz-Werner spojrział w tamtym kierunku i zmarszczył brwi.

„Czyżby ta kobieta... czyżby coś się stało?” – przeszło mu przez myśl i obserwował, jak ochrona i obsługa hotelu kierują się w tamtą stronę. Podobnie jak i Herr Albert Fryderyk de Espada, Piotr Romanov i Ronon Dex, dowódcy wojskowi. Zapanował chaos. Muzyka wciąż grała, oddaleni goście zgromadzeni wewnątrz sali Sonnengelb nie spostrzegli jeszcze zamieszania, ale Heinz przeprosił Arkadiusza, który tym razem nie stawiał oporu i pozwolił mu ruszyć w kierunku zbiegowiska.

- Na Oberhaupta, widziałeś to? – szeptała zaaferowana kobieta, dobiegająca na korytarzu do swojego partnera. Zamilkła jednak, gdy spostrzegła samego Heinza- Wenera we własnej osobie, maszerującego do wyjścia z pochmurną miną. Ludzie rozdygotani, z wielkimi oczami, szeptali między sobą, doprowadzając Grünera tym samym do narastającej wściekłości. Co takiego mogło się wydarzyć?

Dotarł do lobby. Drzwi hotelu stały otworem. Drogę zaszedł mu jednak Herr Espada.

- Herr Oberhaupt. Proszę wrócić na salę. – rozkazał w typowym dla siebie wojskowym tonie, który zwykle spotykał się z posłuszeństwem. Heinz-Werner jednak zamierzał ominąć go w milczeniu. Stał mu więc na drodze po raz drugi. – Proszę nie wychodzić! – Rozkazał po raz drugi. Oberhaupt ruszył więc z jego lewej strony. Ten uparcie znów zaszedł mu drogę. – Herr Oberhaupt! To sprawa wojskowa. To rozkaz!

– warknął muratycki arystokrata, czym spowodował nawet niemałe zaskoczenie na twarzy Oberhaupta.

- Espada, ja tu wydaję rozkazy. – burknął spokojnie w odpowiedzi i odsunął bezradnego wojskowego. Utorował sobie drogę i w końcu stanął na schodkach wejściowych. Nie było tam jednak wspomnianej wcześniej kobiety. Na podjeździe leżał na wznak mężczyzna. Z tego miejsca widać było tylko jego sportowe obuwie i spodnie. Nad ciałem pochylał się elegancki oficer Romanov, zasłaniając swoimi plecami twarz poszkodowanego. Gdy odwrócił się i zobaczył Oberhaupta, aż wzdrygnął się i stanął na baczność.

- Herr Oberhaupt, proszę ... - jęknął, lecz nie wierzył, by cokolwiek mogło teraz powstrzymać Grünera.

Heinz odsunął go i wtedy spostrzegł doskonale znaną mu czarną czuprynę. Kępę gęstych, włosów, odsłaniających oblicze młodego chłopaka, którego trudno było teraz poznać, spod podbitych oczu, wybitych zębów, pociętej twarzy. I wielu innych obrażeń, rozsianych na całym, ukurczonym i ośnieżonym ciele. Na piersi zaś przyklejoną miał kartkę, na której widniał krwawy napis.

„Będziesz następny”

- Leszek! – usłyszał za swoimi plecami pisk Frau Isabell Swan, która odepchnęła stojącego niczym słup soli Oberhaupta, który nie wiedział już, czy zaraz odpłynie, czy padnie na kolana. – Neumann! Defibrylator! – krzyczała dalej...